№ 36. Warszawa, dnia 6-go Września 1908-go roku. Rok XLIV



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesiecznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80; półrocznie rub. 3 kop 60; rocznie rubli 7 kop. 20.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

renumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.

Cena numeru pojedyńczego kop. 20.

Wychodzi pod kierunkiem literackim

Zofii Seidlerowej.

Ekspedycya główna: ulica Nowy-Świat, 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczu" po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

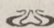
W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie złr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent- 50.

W Krakowie u D. E. Friedleina; kwartalnie złr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.

W W. Kś. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego." w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk.; z przesyłką pocztową 4,30 mk.

WŁADYSŁAW M. KOZŁOWSKI.

Indywidualistyczna i organiczna teorya państwa.



IV.

Organiczna teorya państwa.

Doświadczenie wielu pokoleń w państwach gdzie zasady teoryi indywidualistycznej zostały najściślej przeprowadzone, jak np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki, wykazało, że bezwzględna wolność, pozostawiona przez państwo jednostce, nie prowadzi do spodziewanych przez tę teoryę następstw; że zamiast podążać ku równości w uposażeniu ku coraz większej niezależności każdego obywatela, sprzyja ona przeciwnie, szybkiemu zbogaceniu jednych a zubożeniu drugich, a wynikającej stąd zależności ekonomicznej ubogich, potrzebujących pracy i zarobku od bogatszych, posiadających ziemię, fabryki, warsztaty i t. p. Państwo więc indywidualistyczne, którego głównym celem zabezpieczenie jaknajwiększej wolności wszystkim, wolności tej nie dało, nie mówiąc już o szczęściu, której ona miała być podstawą, ani o równości, która jest naturalną konsekwencyą wszystkim przyznanej równej wolności.

Przyczyną tego niepowodzenia teoryi indywidualistycznej jest ta okoliczność, że przeoczyła ona różnorodne węzły, łączące obywateli jednego państwa po za ich stosunkiem do władzy. Ucisk władzy państwowej w chwili, gdy teorya ta wytwarzała się, był tak nieznośny, tak bijący w oczy; chęć władzy do regulowania wszelkich stosunków tak widocznie tamowała wszelki postęp w rozwoju, przemyśle i handlu i innych stosunkach ekonomicznych, że zasłaniały sobą wszystkie inne przyczyny nierówności ekonomicznej i zależności społecznej. Wystąpiły one na jaw dopiero po zniesieniu tej samowładzy państwa, a wytknięte zostały przez szkoły socyalistyczne.

Teorya organiczna skorzystała z tych wskazówek. Zasadniczą jej myślą jest nauka o *społeczeństwie*. Społeczeństwem są dla niej wszystkie związki, łączące ludzi w gromady, niezależnie od władzy państwowej. Wymieniony wyżej Mohl, podaje następujące cechy organizacyi społecznej:

1. Związek pewnej ilości jednostek w imię interesu wspólnego, trwałego, doniosłego, rozpowszechnionego, a wymagającego czynnego udziału jednostek. Określenia te łatwo zrozumiemy, jeśli przebiegniemy myślą wszystkie możliwe pobudki, które mogą łączyć ludzi, zaczynając od zbiegowiska ulicznego, a kończąc na takiem trwałem zjednoczeniu, jakiem jest np. Kościół (związek religijny). Jakiś wypadek uliczny powoduje zgromadzenie tłumu, budzi on chwilowe zainteresowanie, ale interes ten, chociaż może być i doniosłym, (jeśli to np. zbiegowisko o charakterze politycznym, wywołane przez jakieś nadużycie władzy) nie jest wszakże trwałem. Podobny charakter ma zgromadzenie ludzi w teatrze, słuchających jednej sztuki. Ażeby zjednoczenie osób nazwać związkiem, potrzeba, aby interes, w imię którego ludzie się jednoczą był trwałym, potrzeba aby był rozpowszechnionym, t. j. znajdował oddźwięk u wielu osób i aby jednostki, udzielające ten interes czynnie na niego reagowały, nie ograniczając się słuchaniem lub patrzeniem, jak w sali teatralnej.

2. Drugą cechą organizacyi społecznej jest poczucie węzła łączącego. Niema potrzeby, aby organizacya ta miała swoją ustawę, swoje prawidła i regulaminy, niezbędnem wszakże jest, aby jednostki, które połączone są przez wymieniony wyżej interes miały świadomość tego związku.

3. Cechą następną, wyróżniającą związki społeczne od organizacyi ściślejszych jak państwo lub nawet organizacya polityczna jest ta, że należność do jednego związku nie wyklucza należności do innych. Stosunki życiowe ludzi są bardzo rozmaite, a każdy z nich może pociągać za sobą należności do pewnego związku społecznego. Lekarz np. może być jednocześnie wyznawcą pewnej religii, może być miłośnikiem muzyki, ojcem rodziny, właścicielem domu i t. d., a każdy z tych charakterów zbliża go i stawia w naturalny związek z ludźmi, mającymi jeden z tych charakterów. Jako lekarz np. należy do zawodu lekarskiego chociażby nie był członkiem żadnego zorganizowanego stowarzyszenia; jako człowiek religijny wchodzi w skład pewnej gminy religijnej swego wyznania; jako muzyk ma szereg trwałych interesów, łączących go z innymi muzykami; ta okoliczność, że ma dzieci, wytwarza naturalną łączność między tymi wszystkimi, znajdującymi się w tem samem położeniu w takich kwestyach jak wychowanie, szkolnictwo, opieka nad dziećmi i t. d.; posiadanie domu zbliża go do całego szeregu innych właścicieli, przez pewną ilość wspólnych interesów. Tak więc, liczne strony życia wplatają każdego obywatela w cały szereg zorganizowanych lub niezorganizowanych związków, nie wykluczających się wzajemnie, a każda z tych stron zbliża go do odmiennego koła.

4. Związki społeczne nie są przywiązane do pewnych granic politycznych i wogóle nie są terytoryalne. Kupiec jednego kraju może mieć wspólne interesy, wiążące go z kupcami innych krajów, podobnież badacz w jakiejkolwiek bądź gałęzi naukowej, łączy się i wchodzi w stosunki z obcokrajowcami w tym samym zakresie. Granice polityczne nie stanowią tu żadnej przeszkody, o ile znajomość języków unieważnia przeszkody, płynące z różnic narodowych. Z drugiej strony, cały szereg rozmaitych związków istnieje obok siebie na tem samem terytoryum, w obrębie tego samego państwa, a nawet tego samego miasta.

5. Za dalszą cechę uważa Mohl, zwykły brak organizacyi formalnej. Związki społeczne, jak to już widzieliśmy, spoczywają głów-

nie na istnieniu trwałych interesów wspólnych i na ich świadomości. Jednakże w najnowszych czasach łączenie się w imię interesów wspólnych przybiera coraz bardziej charakter formalnych organizacyi społecznych. Świadczą o tem liczne towarzystwa naukowe, zawodowe, oparte na wspólności interesów majątkowych (np. większych właścicieli rolnych, mniejszych, właścicieli domów i t. d.), religijnych i innych. Życie społeczne dąży do coraz ściślejszej organizacyi.

6. Ostatnią cechą związków społecznych jest ta, że niezależność od nich nie wymaga ani wspólności szczepów, ani narodowości, ani jedności rasy lub innych cech podobnych, tak doniosłych dla organizacyi politycznych (państwa).

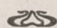
7. Teorya społeczeństwa uwydatnia niezliczone nici łączące każdego obywatela państwa z całemi gromadami innych. Nici te łączą wszystkie jednostki w pewną organiczną całość, która istnieje do pewnego stopnia niezależnie od państwa, przekraczając niejednokrotnie jego granice, nie licząc się z jego terytoryum, tworząc to, co nazwaliśmy już na początku społeczeństwem, t. j. tym odmiennym widokiem, który daje nam ta sama gromada ludzi, żyjących życiem zbiorowem, jeżeli oderwiemy się myślą od formy państwowej, t. j. od stosunków władzy i poddanego. Jednostronność teoryi indywidualistycznej polegała na przeoczeniu tych wielorakich związków. Wystawmy sobie, że mamy bardzo wiele różnokolorowych gałek, ujętych pod szklanym kloszem; zdaje się nam w pierwszej chwili, że klosz ten utrzymuje je w łączności, i że dość go usunąć lub rozbić, aby gałki rozbiegły się na wszystkie strony. Zdejmujemy klosz i ku ździwieniu dostrzegamy, że całokształt zachowuje związek, tu i ówdzie tylko zmieniając kształt swój. Przyglądamy się bliżej, i dostrzegamy, że wszystkie gałki połączone są z sobą całym szeregiem misternych nici. Taki jest stosunek indywidualistycznej teoryi państwa do organicznej: pierwszej zdawało się, że państwo tylko trzyma w związku jednostki; druga dostrzegła sieć spajającą je niezależnie od państwa.

Istnienie tych licznych związków pociąga za sobą to następstwo, że usunięcie spójni zewnętrznej i widocznej, jaką jest władza państwowa, nie zabezpieczy jeszcze zupełnej swobody jednostek. Z drugiej zaś strony jednostki te nie stają z równemi szansami wobec siebie, bo nie stają odosobnione. We współzawodnictwie społecznem biorą udział gromady większe lub mniejsze, ściślej lub luźniej połączone, lepiej lub gorzej uświadomione, obdarzone mniejszemi lub większemi zasobami do walki.



EMMA JELEŃSKA.

Jubileusz.



(Ciąg dalszy).

Na górze nagle urwała się muzyka. Nastała długa chwila ciszy. Aż kilka osób razem rozmawiając zaczęło schodzić po schodach.

— Pozwoli, o na pewno pozwoli! — mówił młody cienki głosik.

Zaśmiano się. Potem ktoś się w sieni ubierał do wyjścia — coś jeszcze mówiono — Aż znowu młody głosik się odezwał:

— Niech tylko pan jutro wcześnie przyjdzie, o dwunastej.

— O dwunastej? No, postaram się wstać.

Wchodowe drzwi otwarły się i zamknęły za gościem. A w chwilę potem do gabinetu zapukano:

— Czy można? To ja.

Weszła pani Bieniecka. Była to kobieta lat czterdziestu kilku, bardzo piękna jeszcze. Wysoka, zgrabna, pomimo już występującej tuszy, jasna blondynka, o wielkich oczach błękitnych i o cudownej białości cerze, ubrana była nadzwyczaj starannie, jasno i strojno, uczesana misternie, połyskująca złotem przepysznych włosów, brylantami kolczyków, białością zębów wśród uśmiechniętych warg, niezliczonemi pierścieniami, paznogciami wyszlifowanemi jak drogie kamienie na wypieszczonych rękach.

Zbliżyła się prędko do męża, i pochylając się nad nim, pocałowała go w czoło. Potem przysunęła sobie nizkie krzesło i na niem usiadła.

— Co, zmęczony jesteś? Ale wszystko dobrze poszło? Jakże?

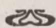
— Owszem, bardzo było pięknie. Bardzo! Ale... dobrze że się skończyło — rzekł Roman, opierając czoło na dłoni. — Jestem zmęczony.

— Kiedyż to jeszcze nie skończone, biedaku! A jutro...

— Tak! Jutro jeszcze...

— Wszystko już przygotowane. Salę jadalną ubraliśmy kwiatami. Śliczne zdobyłam rododendrony! A jutro przybędą jeszcze litery XXV, z kwiatów uplecione. Ładnie to będzie. Już zaprosiłam tych panów z „Dziennika“, z „Gazety“, z „Kuryera“ — mam nadzieję że dobrze to opiszą. Śniada-

Przez mą lornetkę.



(FELJETON TYGODNIOWY).

Czy „Polacken sind zu dumm?...“
Gdzie nasza ambicya narodowa?...
I szkoła razem i karczma...
Najmilej po dawnemu...
Targowisko, któremu trudno dać nazwisko.
Wszystko „z braku funduszów“...

Wielki prąd samoobrony przed Niemcem coraz to bardziej nabiera siły. Trzeba z wielką uwagą i ostrożnością podkreślić to słowo „coraz to bardziej“. Odległość bowiem między tem, co już zrobione a tem, co jeszcze zdziałać powinniśmy i musimy, — jak dotąd, niestety, ogromnie, ach jak ogromnie, duża... Czemu?... Bo „*Polacken* (nawet nie *Polen*...) *sind zu dumm*“ aby z całym nakładem wytrwałości i konsekwencyi przeprowadzić rozumnie i z polotem powzięte dzieło...

Rety!... Kto nam śmiał bluznąć w oczy taką obelgę?... Ot właśnie nasz najserdeczniejszy ale też i piramidalnie szczery wróg, tym razem przybierający na się postać niemieckiego kupca w Toruniu. Mam tu na myśli znany już z łamów codziennej prasy fakt, gdzie jedna z Polek, mieszkających na pograniczu pruskiem, niepoprawnie i nałogowo bezmyślnie nabywała towary u firmy niemieckiej.

— Czy bardzo odczuwacie bojkot publiczności polskiej w interesie?... — zapytała przy tej sposobności tak doskonale akcentowaną niemczyzną, że poczciwy kupczyk-hakatysta nie zoryentował się, iż ma do czynienia z Polką i odrzekł z bajeczną szczerością a zarazem prawdomównością:

— Z początku ogromnie... Był już czas, iż niejeden był poważnie zaniepokojony o swą egzystencyę... Ale „*die Polacken sind zu dumm*“, aby dotrwać w tem, co postanowią i dziś już śmiejemy się z całego swego niepokoju...

Oto nasz czcigodny prawdomówca — wróg ale zarazem cenniejszy od największego przyjaciela, cenniejszy, bo nam mówi „krzepiącą prawdę“, bo nas galwanizuje zniewagą i aż do trzewiów ambicyi się dobiera. Kiedyś, osławiony poseł do parlamentu wiedeńskiego, Wolff, rzucił nam wobec całej Europy miłe nad wyraz „powiedzenie“, iż jesteśmy „*eine minderwärtige Nation*“. Zastanówmy się, zrzuciwszy pychę z serca i w cichości ducha, czy łotrzyk ten nie wyrzekł czegoś, co może nie jest pełną prawdą, ale czemś skutkiem naszej winy już bardzo blisko niej stojącem. Jeden z niepoprawnych pesymistów zaryzykował na ten temat twierdzenie, iż od czasu Skargi nikt nie powiedział nam większej narodowej prawdy, wartej, by ją ryć na marmurze...

Bo już choćby biednej Galicyi się trzymając... Szlachtę galicyjską, w r. 1846 podszczute przez rząd austryacki kmiotki, pod wodzą Szteli wyrzynały na potęgę. Kiedy zaś potem dano Galicyi autonomię, ta sama szlachta używała jej przez lat 40 po to, aby... przeważnie stawiać sobie drogi murowane do swoich dworków, wyjednywać większy kontyngens okowity dla swych gorzelni i z całym zapałem męstwa, jeszcze pod Wiedniem,

nie wyśmienite! Chcesz widzieć menu? Mam zdaje się, przy sobie. O, słuchaj! Barszczyk z krokietkami, pstrągi, sauce...

— Ach, pewien jestem żeś to wszystko doskonale obmyśliła. I nie to mi w głowie... — Roman westchnął ciężko. — Bo i na co mi to wszystko!... — szepnął.

— Ależ, Romku! — oburzyła się żona — jakto, na co? To bardzo dobrze robi taki jubileusz. Ludzie zupełnie inaczej patrzeć na nas będą. Miałeś dotychczas pewne tylko koło zwolenników — teraz nikt się już nie ośmieli oponować — krytykę robić! Ale! Ja jestem bardzo zadowolona. Owszem, niech mówią, niech piszą. Im więcej, tem lepiej. Przecież to świetna reklama.

— Reklama! Jeszcze? Po dwudziestu pięciu latach pracy!...

— Ależ tak! Zawsze i wszędzie. No, mój drogi, nie udawaj romantyka, bo nim, chwała Bogu, od dawna być przestałeś. Potrafiłam ci te głupstwa wybić z głowy — prawda? I w gruncie serca, choć robisz złą minę, czujesz że ja zawsze miałam racyę. Dobrzem ci się w życiu przydała. Przyznaj, czy, gdyby nie ja, miałbyś ten pałacyk, i ten ekwipaż, i te stosunki, i tę pozycyę w świecie, jaką dziś mamy? Czy miałbyś nawet dzisiejszy jubileusz? Przyznaj! Nic dziwnego, że uważam to trochę i za własny jubileusz.

W pięknych oczach pani Bienieckiej zabłysły iskry tryumfu. Podniosła dumnie głowę.

Roman milczał. Ogarniało go coraz cięższe znużenie.

A pani Fela mówiła dalej:

— Więc miejże do mnie zaufanie. Gdy ja co radzę, to już z pewnością dla dobra naszego i dzieci naszych. Już ja się na tem znam! Nie przeszkadzaj mi, nie wymyślaj trudności, urojonych prawie zawsze...

— Ale... o cóż jeszcze chodzi? — spytał Roman, patrząc niespokojnie w twarz żony.

— O co chodzi... — odrzekła ona, spuszczając głowę, i bawiąc się koronką od stanika. - No, chodzi o rzecz ważną — i nie zawracałabym ci tem głowy teraz właśnie, gdyś taki zmęczony — gdyby nie to, że... że oni oboje uprojektowali sobie jutro...

— Kto oni oboje? Nic nie rozumiem.

— Ach! jacyż wy mężczyźni ślepi jesteście! - - zaśmiała się pani Fela — to coś okropnego! Jakto! nic nie uważałeś? Nic a nic?

— Czy chcesz mówić o Płoskim?

— Ależ naturalnie że o Płoskim...

— Jeżeli tak, to powiem, że uważałem właśnie iż on za często i wcale niepotrzebnie tu przychodzi i chciałem cię ostrzedz nawet. Dziś naprzykład, czegoż siedział tu sam jeden z wami do późnej nocy?

— Ależ, Romku! On się stara o Daisy! Dziś się o nią oświadczył.

— O Daisy! — zawołał zrywając się Roman. — Ten rozpustnik! Ten zdechlak! Ten złoty młodzieniec, głupszy od stołowych nóg! Stara się o moją córkę! Ach, Felo, jakże mogłaś do tego dopuścić!

Pani Fela najspokojniej wyjęła papierosa z ridiculu i sięgnęła po zapałki.

— Wiedziałam że będziesz krzyczał — rzekła. — Ale gdy się spokojnie zastanowisz, zobaczysz, że w tym maryażu niema nic tak niemożebnego. Ja pozwolenie swoje już dałam — dodała, wypuszczając z ust obłoczek dymu.

— Co?!...

— Ja pozwolenie swoje już dałam — powtórzyła. — Teraz od ciebie zależy...

— Ja się na to nigdy, nigdy... nigdy nie zgodzę! — zakrzyczał Roman gniewnie i odszedł wgłąb pokoju.

Wzburzony był do głębi. Daisy — tę słodką Daisy! — dać takiemu człowiekowi! To biedne dziecko rzucić jemu na pastwę! Byłaby to zbrodnia — grzech o pomstę wołający — monstrualny grzech! Nie! nigdy! przenigdy!

Pani Fela wypaliła do końca papierosa, poczem, powstawszy z miejsca, poszukała popielniczki. Wróciła znowu do swego nizkiego krzesełka i zaczęła bawić się pierścionkami.

— Gdybyś przestał się miotać po pokoju — rzekła, po długiej chwili milczenia, — tobyśmy mogli rozsądnie kwestyę przedyskutować i przekonałbyś się...

— Ja nie potrzebuję przekonywania. Mam wyrobione zdanie o tym panu. Nie zgodzę się nigdy Daisy mu oddać...

— Jak chcesz. Bez twego pozwolenia, naturalnie, nic z tego być nie może. Ale nie rozumiem dlaczego mówisz o Płoskim, jakby to był ostateczny szubrawiec. Że młody człowiek, i to jeszcze z jego sfery — hulał tam niegdyś...

Nagle Roman się uspokoił. Wrócił na swe miejsce i rzekł:

— Felo, mówmy poważnie. Czy jako człowieka szanujesz Płoskiego? Czy, gdyby nie miał sześciu milionów funduszu, dałabyś mu córkę? Czy kojarząc to małżeństwo, wierzysz że Daisy będzie z nim choć przez jeden dzień szczęśliwa?

— O! dlaczegożby nie miała być szczęśliwą. Daisy jest zanadto rozsądna i dobrze wychowana, aby miała po mężu spodziewać się jakichś poetycznych zapałów braterstwa dusz, wspólności ideałów, i tak dalej. Ona wcale sobie żadnych nadziemskich rozkoszy nie wyobraża. Wie bardzo dobrze czem jest małżeństwo i bardzo trzeźwo na to patrzy.

— Nie wmówisz we mnie że dwudziestoletnia dziewczyna sama pragnie za pienią-

---

uwiecznionego, ochraniać i bronić „świętego prawa propinacyi“..

W rezultacie dziś Galicya posiada jeszcze 60% analfabetów, 300 gmin bez szkół, wydziały powiatowe, zadłużone po same uszy a marszałków, czczących swój wybór bankietami z szampanem; chłopstwo, żywiące się często na przednówkach tylko plackami owsianemi a przez cały rok boży przeważnie kartoflami, co gorsze, chłopstwo, liczące w Galicyi wschodniej dwa miliony głów a podburzone przez Trylowskich i Budzynowskich, i nienawidzące skutkiem tego „paniw“ jak samego dyabła, co gorsza, czyhające dziś tylko na chwilę, aby na tę właśnie szlachtę, która przez lat 40 w jego imieniu sprawowała nad niem rządy pupilarne, rzucić się ponownie i jak w r. 1846 rżnąć ją tępemi piłami i gnać na powrozach całemi milami...

Czy obraz nie za czarny?... Może trochę... Ale niewiele... Głosy prasy galicyjskiej współbieżącej, przekonywają o tem jak najdowodniej. Najzupełniej zresztą wystarczy mały obrazek wyłowiony przez krakowskie „Nowości Illustrowane“ a przedstawiający dom, ku starości silnie pochylony, w którym pomieszczono w jednej połowie szkołę dla dziatwy, a w drugiej karczmę!... Oto widomy znak, w którym usymbolizowała się 40 letnia w Galicyi gospodarka szlachty a ten symbol w postaci omówionego obrazka już dziś powędrował do ilustracyi europejskich i będzie tam o nas świadczył bezpośrednio po „wozie Drzymały“...

Tak... tak... My już dziś prawdy i tylko prawdy, jeno z ust wrogów dowiedzieć się możemy. Powie nam ją kupczyk-hakatysta w Toruniu, wygłosi ją *coram publico* wszechniemiec Woff z trybuny parlamentarnej. Takie smagnięcie batem po naszej ambicyi może poskutkuje. Oby kupczyk toruński tryumfował przedwcześnie. Podkreśliłem pocieszająco, że prąd samoobrony naszej przed zalewem chronicznym produktów niemieckich coraz to bardziej rośnie i wzmaga się. W tych dniach wyruszyła znowu poważniejsza grupa naszych kupców i przemysłowców do Pragi, Paryża, Londynu i Zurychu, aby bodaj na razie, czego sami nie wyrabiamy jeszcze, poszukać u Czechów, Francuzów, Anglików i Szwajcarów, byle zerwać z Niemcami...

Całe miliony wydajemy rocznie na „*objets de luxe*“. Zalewa nas niemi przeważnie Berlin. Może choć teraz sięgniemy po nie do Paryża czy Londynu, gdzie te rzeczy są i piękniejsze i często wiele tańsze. To są zresztą już grywane od szeregu miesięcy piosenki, ale my ich w żaden sposób nie chcemy jakoś wziąść do serca. Czybyśmy naprawdę mieli być na to „*zu dumm*?!...“ Czyżbyśmy nie umieli wszędzie tam przeciwdziałać, gdzie leniwy wciąż dotąd i nieczuły kupiec warszawski nie umie czy poprostu nie chce nawiązać stosunków z Francuzem czy Anglikiem lub Szwajcarem. Gdy kupiectwo nasze, jak do tej chwili, dość nieszczególnie oddaje się na usługi tej idei, ciężar jej na swe barki wziąśćby powinna tem energiczniej publiczność sama...

Więc nasze panie... polki... uświadomione co do swych obowiązków narodowych, prawdziwe obywatelki!... Żądajcie, wymyślajcie, grożcie... Gdy się uprzecie serdecznie a mocno, musicie postawić na swojem. Miłem i jak zaszczytnem będzie takie zwycięstwo. Teraz czekamy na rezultaty wielkiej wycieczki naszych kupców. Gdy przyjadą z nimi, swoje odbiorczynie zastaną już gotowemi do poparcia ich z całych sił i mocy...

Pokaże się wówczas, czy my naprawdę je-

dze zaprzedać się takiemu Płoskiemu! Toby było przeciw naturze.

— Ty zawsze używasz takich gwałtownych wyrażeń. Daisy ma lat dwadzieścia, a zatem nie jest dzieckiem. Widzi jasno rzeczy! ocenia je wedle wartości, i nie lekceważy, tak jak ty, ani pozycyi, ani tytułu, ani owych sześciu milionów. A że człowiek jest dla niej sympatyczny, doskonale wychowany, należący do najlepszego towarzystwa — a przytem ogromnie w niej zakochany — więc czegoż jeszcze chcieć? Na kogoż jeszcze czekać? Szczególniej gdy się niema posagu. Ty zawsze mnie posądzasz że ja Daisy tyranizuję. Ale słowo ci daję, że gdyby ona powiedziała: nie! tobym nie nalegała. Ale ona sama tego chce — wierzaj mi!

— Nie wierzę, nie wierzę! Płoski nie może się podobać młodej dziewczynie. A chyba że moja córka... dla pieniędzy... dla tytułu... Nie, nie! To być nie może!

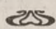
— Ależ, Romku, jak ty zawsze przesadzasz! Cóż widzisz tak bardzo złego w Płoskim?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z II-ej seryi.

Mojej ojczyzny drzewa...



Mojej ojczyzny drzewa
Szumią nie tylko sobie —
Ich skargę wichr rozwiewa
Po całym ziemskim globie...

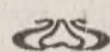
Słonecznych lśnień ulewa
Półkule grzeje obie,
Choć co dnia w mgłach omdlewa
Na mej ojczyzny grobie...

Choć serce łan rodzimy
Nad cuda woli obce —
Za siół ojczystych kopce
Śle pieśni, jak pielgrzymy,
Co własnej nucąc glebie,
Świat cały chłoną w siebie...

Wiktor Dzierżanowski.



Kłamstwo feminizmu.



Autor francuzki, znany z wielu poprzednich dzieł, p. Teodor Joran, wydał niedawno książkę, pod tytułem „Kłamstwo feminizmu“, nad którą warto się zastanowić i podyskutować. Przedewszystkiem należy powiedzieć, że autor bada sprawę kobiecą oddawna i sumiennie — dlatego może jego dzieło pojawia się trochę późno — w chwili gdy feminizm przestał już być kwestyą sporną.

Jestto utwór raczej polemiczny, niż naukowy, nie kuszący się o bezstronność, pełen epigramatów. Oto parę próbek.

„Dlaczego nie lubię kobiet, zajmujących się literaturą? Ot, poprostu dlatego, że nie biorą z niej dozy odpowiedniej. Jeśli są zdolne ocenić Montépin'a, zaraz wspinają się (!) do Ohneta, stanąwszy na tym poziomie (!), już chcą dosięgnąć Bourgeta. Ten im niedługo wystarcza, więc szukają Pawła Hervieu, Rodenbacha, wreszcie Huysmansa. I tak dalej bez końca“.

(Czy można się dziwić, że nawet kobietygąski pragną się wznieść po nad „wyżyny“ Montépina lub Ohneta?)

A oto satyra na literatkę-gospodynię domu i literatkę-matkę.

„Zmusza męża, aby się zajmował gospodarstwem, dlatego, że sama zaniedbuje dom, a pogardza mężem dlatego, że on zajmuje się gospodarstwem... W jej salonie zbierają się obdarci poeci, rozczochrani muzycy, symboliści w spodniach, po większej części rozwódki. Wita gości słowami: „Ten Tołstoj — co za genjusz!“ Od czasu do czasu raczy odezwać się do męża, bo chce wykazać swą dobroć, ale rzuca mu słowo współczucia, jak kość — psu“.

A oto jak wyszydza literatkę-rodzicielkę:

„Do swoich malutkich dzieci przemawia stylem akademickim, prawiąc im o cnocie, o obowiązku, o prawdzie i pięknie. Gdy pokażą język, przejedzą się konfiturami lub zbiją karafkę, powiada im uroczyście: „Stawiam cię przed sądem twojego sumienia!“

Książka, oprócz innych usterek, ma wadliwą budowę.

Część pierwsza jest dziennikiem nieszczęśliwego męża, który opowiada swe utrapienia dzień po dniu.

Część druga — objektywna, traktuje feminizm teoretycznie.

---

steśmy „zu dumm“, aby nie oduczyć się kręcenia bicza na samych siebie... Co do wielu bowiem niestety rzeczy, stanowiących poprostu o naszym losie narodowym i społecznym, jesteśmy po dawnemu „dumm“ ale to naprawdę szczytowo, niebotycznie, niemądrzy, nierozumni, aż głupio uparci, zacietrzewieni w bezrozumie. Nie upłynęło lat dwu od chwili, gdy rozruch socyalny omal nie wywrócił tego „świętego ładu“, który właścicielom sum hipotecznych zapewnia ich uczciwe 7 czy 8%, posiadaczom rent i pożyczek 5 bodaj $4^1/_2$%, gdy wogóle system czerpania nadwartości, wyprodukowanej w pocie czoła z przeróżnego surowca przez milion bezimiennych szaraczków, omal nie wziął w łeb... Gęsia skórka wówczas nas obleciała, kajaliśmy się w żałości i wołaliśmy z głębi serca, widząc jak w imię miłości dla tych stale krzywdzonych, prowodyrowie wywrotowi chcą nas zdławić i zgnębić:

— Łaski!... My ich w tej właśnie miłości dla bezdomnych i wydziedziczonych przelicytujemy... My systemem Promyka przepędzimy analfabetyzm z kraju do Papuasów, my wyzbieramy dziatwę—włóczęgów z ulicy, my ją pomieścimy w ochronkach, my nie pozwolimy, by ludzie marli z głodu na ulicach, by szwaczka noce całe spędzała nad maszyną i żyła serdelkami, by gruźlica hulała po społeczeństwie naszem jak słoń po plantacyach, by itd... itd...

Całe tuziny nowych potworzyliśmy instytucyi, które dziś więdną z braku opłacanych składek, albo wprost już zamarły, po naszych hucznych wiecach dziś tyle zostało, co po zeszłorocznym śniegu kwietniowym i... wszystko pozostało po dawnemu. Tylko przybyło dwa tuziny kabaretów i przeróżnych tinglów, tylko monopole rządowe mają dziś większe wpływy niż dawniej, tylko „Goniec“ coraz to inną „panaminę“ z za kulis Magistratu, tego odmętu szwindlów wyciąga a panowie „ojcowie miasta“ trwoniący z takim talentem grosz publiczny, milczą wciąż jak zaklęci. I sprawdza się owa historya, gdzie to przemawiał dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu...

Bo oto zamykają się domy przytułków noclegowych (z braku funduszów...), oto chorzy w szpitalach mrą z głodu, marnie odżywiani (z braku funduszów...), oto nędzarze z wypuszczonemi jelitami po wypadku z „elektryką“ są odprawiani z pod wrót szpitala, bo tam panuje przerażający brak miejsca (z braku odpowiednich funduszów...) bo oto Powiśle całe mrze z tęsknoty za linią tramwaju elektrycznego i doczekać się go nie może (naturalnie z braku odpowiednich funduszów...) ale... za to ulica Łazienkowska, pozbawiona prawie domów, otrzymuje targowisko miejskie kosztem 120,000 rb., targowisko, gdzie pies ze złamaną nogą nie zagląda, gdzie nikt nie odczuwa potrzeby ani kupowania ani sprzedawania, gdzie ostatecznie możnaby conajwyżej wypatrzeć „Campo santo“ szeregu niezbędnych dla rozwoju miasta rzeczy, które wciąż pozostają w sferze projektów... jak zawsze „z braku odpowiednich funduszów“, bo istny „mag“ co do wyrządzania „strat“ publiczności, płacącej podatki, (to nasz Warszawski Magistrat...) tak gorliwie i rozumnie niemi włodarzy.

Zaiste, trudno w tych warunkach oprzeć się rozgoryczeniu i zwątpieniu, które na wielkie słońce naszej przyszłości rzuca kir taki przykry i nielitościwy...

Maryan M. Winiarski.



Ta druga część właśnie słaba i nudna, jako uogólnienie tego, co już było wyrażane, inaczej w części pierwszej. Autor bierze jakby w obronę swego bohatera Leona H., doprowadzonego do samobójstwa przez panią Leonową H., kobietę głupią, samolubną, pretensyonalną i bez serca. Doktryny p. Joran są jakby transpozycyą ideową żalów p. Leona H To odejmuje dużo powagi części doktrynalnej dzieła.

Mniejsza o fabułę, wówmy o doktrynach.

P. Joran ma jedną wielką zaletę — jest szczerym, bez osłonek wyraża swe poglądy— zacofane. Według niego kobieta jest dzieckiem, istotą małoletnią i taką pozostać musi. Autor ma odwagę swoich przekonań, ale to nie wystarcza. Trzeba po za tem — mieć logikę za sobą. P. Joran nie dostrzega i nie przewiduje, że jego argumenty, a właściwie jego twierdzenia — muszą wywołać pytania: a zatem... I cóż z tego wynika?

I tak naprzykład pisze:

„Domagacie się wyzwolenia kobiety w imię wolności. Czyż kobieta w obecnych warunkach nie jest wolną? Czy, pomimo paragrafów kodeksu Napoleona, mąż zdolny jest zmusić żonę do jakiegobądź kroku, którego ona zrobić nie chce? A gdy weźmiemy w rachubę kobiece wybiegi, podstępy, zdolność udawania, to przekonamy się, że mężczyzna raczej jest ubezwłasnowolniony, że on jest na łasce niełasce kobiety. Rozejrzyjcie się tylko dokoła“...

— *I cóż z tego wynika?* — Jeżeli, pomimo 213 paragrafu kodeksu Napoleona, nakazującego żonie „posłuszeństwo mężowi“, mąż jest jednak niewolnikiem żony, to czemuż domagasz się, pan, zachowania tego paragrafu?

P. Joran wykazał, iż uległość żony mężowi i męża wobec żony jest kwestyą nie prawną, ale obyczajową. W małżeństwie przewodzten, kto może. Więc po co pisać w kodeksie, „W małżeństwie mąż rozkazuje“. Jestto bezużyteczne, a co gorsza, szkodliwe, bo kodeks nie powinien być zredagowany w ten sposób, iżby można drwić z niego. Należałoby zmienić ów paragraf w taki sens: „Małżonkowie mają *narówni*, wobec dzieci i wobec kraju obowiązek żyć ze sobą zgodnie“. A w jaki sposób dojdą do tego, to już ich rzecz.

Posłuchajmy jeszcze p. Joran.

„Równość! To czysty sofizmat! Równość pomiędzy obu rodzajami ludzkiemi nie istnieje. Niema ani równości fizycznej, ani równości umysłowej, ani moralnej“.

Na podstawie takiego aksyomatu, autor wyszydza „pretensye“ i szturmy kobiet do rozmaitych „męskich“ zawodów. Czyż one zdolne są spełniać funkcye, wymagające tak wiele geniuszu?

— *A zatem*, jeżeli potrzeba geniuszu, aby zostać subjektem w sklepie lub kasyerem w biurze, i jeśli kobiety nie są na wysokości takich zadań, to czegoż się pan obawia? Niech próbują, a bez żadnych obostrzeń prawnych, sama siła faktów przeszkodzi im sprawować te funkcye. Antifeminista, przekonany o niższości umysłowej kobiet, winien raczej dowodzić:

— Pozwólcie kobietom zostawać lekarzami. Skoro nie potrafią, więc niema się czego obawiać.

Nie ulega jednak wątpliwości, że *większość* kobiet, dotychczas przynajmniej, nie jest zdolna sprawować wyższych zawodów, uprawianych przez mężczyzn. Ale skoro *pewna, duża liczba* kobiet potrafi je sprawować, więc nie wolno im przeszkadzać jeśli potrzebują je spełniać dla chleba — stawianie przeszkód byłoby zbrodnią.

A zatem udzielmy prawa *wszystkim* — one same, korzystając z tego prawa, przekonają się: — która jest a która nie jest zdolna z niego skorzystać. Ale prawo powinno być dla wszystkich, chyba, że *wszystkie* są niezdolne do korzystania z niego. Taki jest wprawdzie pogląd p. Joran; ale to pogląd śmieszny. Należy udzielić kobietom wszelkich praw, radząc niektórym, aby ich nie używały, bo nie zdołają mieć z nich pożytku.

Niepodobna rozumować tak jak autor: „Dzieci są tak samo równi dorosłym, jak kobiety — meżczyznom. Pański trzyletni synek ma te same prawa, co pan i miał je, zanim się urodził. Czy jednak udzielamy dzieciom takiej samej wolności, jak sobie? Nie. A dlaczego? Z obawy, aby jej nie nadużyły. Rzecz się ma tak samo ze wszystkimi, małoletnimi — wiekiem, lub słabością, nieumiejętnością, brakiem doświadczenia, słowem jakimbądź upośledzeniem — fizycznem, umysłowem lub moralnem.

Oto jest punkt wyjścia p. Joran — tak przestarzały w czasach dzisiejszych feminizmu, że aż tem samem nowy i wart zaznaczenia, jako *curiosum*.

Ciekawem również jest zdanie o feminizmie i o tej książce, (budzącej żywe polemiki w prasie) jednego z czterdziestu nieśmiertelnych, znanego krytyka Emila Faguet. Oto co pisze w swej recenzyi:

„Feminizm opiera się na przekonaniu, że kobieta jest równą mężczyźnie we wszystkiem oprócz w geniuszu; cokolwiek przedsiębierze, dokonać zdolna, więc nie należy mówić: robić powinna, ale: zrobić potrafi. Możemy jej radzić aby żyła tak jak jej babka i matka, jeżeli chce, skoro nie chce lub nie może, dajmy prawo — na jej własną odpowiedzialność — pełnienia wszystkich męskich zawodów, pozbawiać ją tego prawa byłoby obrazą wolności — *lèse-liberté*.

„Oto jest podstawa feminizmu — nie wolno jej narzucać tym, którzy nie uznają, aby wśród ludzkiej rodziny byli pełnoletni i małoletni z urojenia prawodawczego (*par fiction légale*).

„Ale podstawą feminizmu jest jeszcze to: pewna liczba kobiet, (wsród których są i histeryczki, lecz jest też bardzo dużo osób rozumnych), znajduje, że kobieta wyższych warstw uczyniła się małoletnią — sama, przez swą lekkomyślność, przez lenistwo, przez wykształcenie powierzchowne, oparte głównie na t. zw. „talentach“, i że dziś mężczyźni, bardzo słusznie, nie chcą żenić się z takiemi lalkami, te też owe grono kobiet uznało, że bądź dla prowadzenia życia niezależnego, pełnego godności i pracy, bądź dla poślubienia ludzi poważnie myślących, bądź gdy taki poważnie myślący człowiek umrze, dla wychowania dzieci, a gdy żyje, dla pomagania mu w jego pracy wychowawczej, — z tych wszystkich względów kobieta powinna przestać być dzieckiem, powinna zahartować swój umysł, wzmocnić charakter, nabrać tężyzny moralnej i że w ten sposób, czy to idąc przez życie sama, czy podtrzymywana przez męża i podtrzymująca go, będzie *szlachetniej* szczęśliwa i *słuszniej* zadowolona z siebie, co jest nietylko dozwolonem, lecz powinno być obowiązkowem.

„Tak pojęty feminizm jest prawdziwym powstaniem i buntem kobiety *przeciw własnym wadom*, jest odrodzeniem istotnem.

„Feminizm jest więc buntem kobiety — nie przeciw mężczyźnie, lecz przeciw sobie samej, przeciw tej tak zwanej „naturze“ kobiecej, którą mężczyźni przez mniej lub więcej świadome wyrachowanie, podtrzymywali w niej i rozwijali. Przeciw kobiecie słabej sercem i myślą, płochej, zalotnej, rozmiłowanej w hołdach, bedących *miłemi zniewagami*, myślącej tylko o podobaniu się — przeciwko takiej właśnie zbuntowały się kobiety rozumne; takiemi one być nie chciały, pragnąc stać się innemi zupełnie. I to jest podstawa, to jest źródło feminizmu“.

Określenie to, rzecz prosta, nie podobało się zdecydowanemu antifeminiście, jakim jest p. Joran, a nawet wzbudziło polemikę między autorem a krytykiem.

— „P. Faguet — pisze autor — wznosi nas na szczyty feminizmu, graniczącego ze stoicyzmem“.

— „Nie — odpowiada krytyk — a choćby nawet: czemuż kobieta nie miałaby wznieść się na tę wyżynę... Ha! prawda, zapomniałem że jest stworzeniem niższem“.

— „Feminizm jest buntem kobiety przeciw swym wadom i przeciw sobie samej. Jakże wielkiej siły ducha potrzeba, aby zostać feministką!“ — szydzi autor.

— „Nie — odpowiada krytyk — trzeba poprostu mieć rozsądek“.

— „Czyż zdołamy wytłómaczyć niektórym wiadomym kobietom, że wszelkie hołdy są miłemi zniewagami?“ — powątpiewa autor.

— „Niektórym, tym właśnie *wiadomym*, z pewnością nie zdołamy, ale to stracone placówki — dowodzi krytyk. — Inne wiedzą i rozumieją coraz lepiej, że gdy mężczyzna powiada im: „jesteś upajająca“, to bierze je za to, czem są, lub czem mogą się stać bardzo łatwo.“

— „Hołdy nie są bynajmniej *zniewagami*— one opromieniają stosunek obu płci, są piękną zasłoną, rzuconą na szpetotę życia. Wyszydzając je, autor wzbrania nam zaścielania kwiatami i kobiercami drogi, wiodącej do ołtarza“ — powiada autor.

— „Czy tylko do ołtarza“ — powątpiewa krytyk.

P. Joran w książce swojej nie uznaje koncesyi, nie widzi odcieni. Według niego feminizm od góry do dołu, we wszystkich swoich wymiarach, wzdłuż, wszerz, wgłąb i wpoprzek jest głupotą lub kłamstwem. Przechodzi to u niego w manię.

Jak widzimy zatem, jego książka jest wykwitem wstecznictwa — a jednak ją rozkupują, rozchwytują, pochłaniają skwapliwie, tłomaczą na obce języki. Dlaczego? Bo jest w niej dużo złego o kobietach. Mężczyźni lubią taką lekturę, a i kobiety czytają chętnie takie książki. Mają dość rozumu, aby się niemi bawić.

E. Żm.

Z listów do „Bluszczu“.

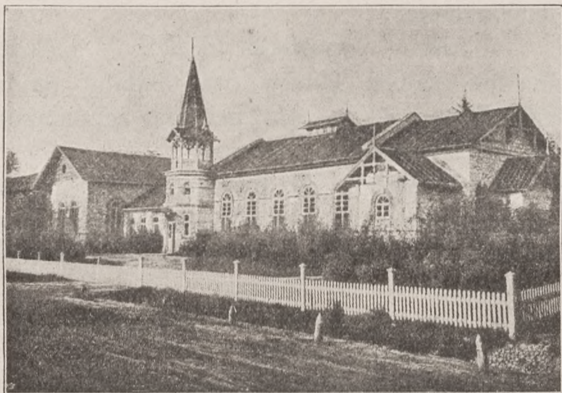
Solec, w sierpniu.

Solec, jedno z najsilniejszych w Europie zdrojowisk siarczano-słonych, jak wszystkie nasze krajowe uzdrowiska, nie jest nawiedzany tak licznie, jak na to zasługuje.

Najważniejszym może powodem tego jest brak dogodnej komunikacyi; 10 ciomilową odległość od stacyi kolejowej Kielce przebywać trzeba końmi, a chorzy, potrzebujący wód tego rodzaju, wolą zapewne udawać się tam, gdzie łatwiej i wygodniej dostać się można, choć często powtarzają słowa, wyrzeczone niegdyś przez ś. p. Seweryne Duchińską:

Wśród obcych ludzi, serca nie zbudzi,
Przyrody cud,
Obce tam zdroje, góry nie moje,
Nie mój tam lud!...

Tu otoczenie swojskie, wszędzie widzimy twarze naszych poczciwych wieśniaków. Jak w całem prawie kieleckiem, nie wymawiają oni ą, ani ę, mówią więc: „piotek“, „reka“, „ksiega“ i t. p.



HOTEL Z SALĄ BALOWĄ I RESTAURACYJNĄ.

Teraz atoli pod hasłem: „Nie pojedziemy do „badów“, dziać się powinno inaczej i miejmy nadzieję, dziać się będzie w przyszłości.

Że zdrojowiska nasze mają jeszcze wiele braków, rzecz to wiadoma powszechnie, ale niewątpliwie powodem tego jest jedynie to, że zaniedbywaliśmy dotąd odwiedzania krajowych miejsc kuracyjnych.

Kąpiele soleckie działają skutecznie w wielu chorobach, a mianowicie leczą: reumatyzm, artretyzm, choroby skórne, skrofuły, chorobę angielską, choroby kobiece, nerwowe, nerwobóle (ischias), zatrucia metalami, przewlekłe zapalenia stawów i kości, oraz wiele innych.

O skuteczności kąpieli soleckich wymownie świadczy wykaz leczonych tam chorób, z wykazu tego widzimy, że około 90% chorych odzyskuje zdrowie lub chociaż znaczne polepszenie. Jako środki lecznicze używane są oprócz kąpieli i picia wody miejscowej, kąpiele mułowe, ogólne i częściowe, kąpiele kwaso-węglowe (Nauheimskie), mechano- i elektroterapia, gimnastyka i t. p.

Solcowi, jak wspomniałem wyżej, wiele jeszcze brak do nazwy „zakładu kąpielowego“, dziś jest to tylko wieś, ale jako wieś, ma też swój urok.

Blizkość lasu, pól i łąk wytwarza atmosferę uroczą i bardzo miłą. Z powodu znacznej



WILLA DYREKTORA ZAKŁADU.

przestrzeni, na której Solec jest rozrzucony, panuje tam swoboda najzupełniejsza. Kuracyusze spędzają czas według własnego upodobania.

Z większych budynków na uwagę zasługują: hotel z restauracyą, salą teatralną, czytelnią, pokojem do gry w karty. Pensyonat, ładna willa „Mickiewiczówka“, willa „pod Brzozami“, willa dyrektora zakładu, zaciszne „Zacisze“, a nadewszystko willa pani Miniszewskiej, stojąca już w polu, gdzie nie dochodzi żaden gwar, prawdziwy Eden dla tych szczęśliwców, którzy się tam dostaną, właścicielka jednak jest bardzo wybredną w wyborze lokatorów. Po za budynkami wyżej wymienionymi, kuracyusze mieszczą się w brzydkim, koszarowym, t. zw. „domu kawalerskim“, oraz na wsi, gdzie mieszkania są tańsze, ale urządzenie ich jest jeszcze bardzo pierwotne.

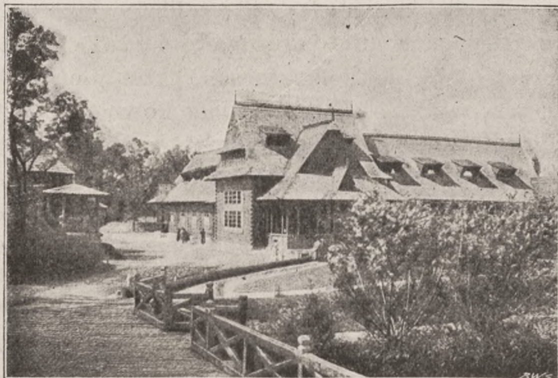
Łazienki kąpielowe. wybudowano w poważnym stylu zakopiańskim na miejscu dawniejszych, spalonych. Budynek ten na tle bujnej zieleni sprawia bardzo miłe wrażenie.

Przy hotelu jest ładny ogród spacerowy, gdzie kuracyuszom uprzyjemnia czas orkiestra pod dyrekcyą p. W. Melodysty, zdolnego kornecisty, wygrywa ona oprócz „cace-walk'ów“ i „matchich'ów“ utwory kompozytorów polskich: Moniuszki, Chopina, Żeleńskiego i innych.

Do braków Solca między innemi zaliczyć należy: szczupłą ilość wanien do kąpieli mułowych, brak wygodnej wagi, co szczególnie cięższej chorzy odczuwają dotkliwie, oraz to, iż miejscowość kuracyjna nie ma na miejscu stacyi pocztowej i telegrafiicznej. Po listy i gazety posyła się do Stopnicy i to jest powodem, że korespondencyę odbieramy dopiero na trzeci dzień. Rzecz naturalna, że trzeba płacić za to posłańcowi osobno, co dla odbierających liczniejszą korespondencyę i pisma, pociąga dość znaczny wydatek.

Bardzo smutne wrażenie sprawia na każdym, kto po raz pierwszy wstępuje w progi kościoła soleckiego, jego ubóstwo i szczupłość.

Wzniesiony w r. 1839, wtedy, gdy Solec był jeszcze zwyczajną wioską i nikt nie przewidywał, iż stanie się z czasem miejscem kuracyjnem. Jako materyału do budowy użyto nietrwałego kamienia wapiennego, bardzo pospolitego w tych stronach. To też pomimo niezbyt długiego istnienia, był on już trzykrotnie wzmacniany i przybudowywany, co pochłonęło dość znaczne sumy. Dziś, przy rozwoju Solca, jest stanowczo za mały, nietylko dla nielicznych i biednych parafian, ale i dla kuracyuszów, którzy z powodu braku miejsca, a tem samem ławek, prawie nie bywają w kościele, zwłaszcza, że leczący się w Solcu, są to przeważnie ludzie dotknięci reumatyzmem lub artretyzmem, dla których dłuższe stanie jest niemożebne. Pozwolenie na budowę nowego kościoła już uzyskano, złożono też na ten cel skromny fundusz, tak z ofiar gminnych, jako też i z zapisu, ale jest to suma tak niewielka, że z nią nie można jeszcze przystąpić do rozpoczęcia robót.

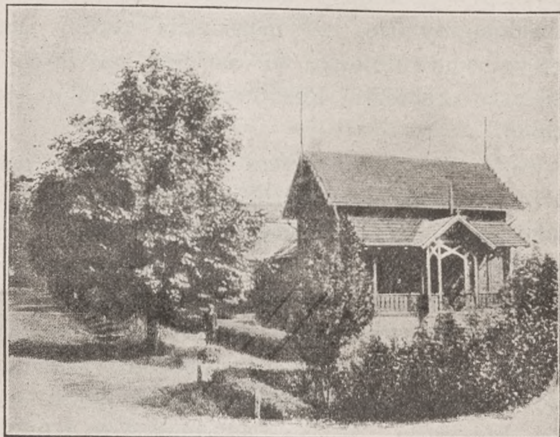


ŁAZIENKI SOLECKIE.

Na pomoc parafian nie można liczyć, gdyż lud tam bardzo biedny, na lichej glebie osiadły i dlatego wszyscy w sile wieku wychodzą na zarobek zagranicę.

Czyim obowiązkiem jest przyjść z pomocą parafianom w dziele budowy kościoła? Na pytanie to jest, zdaje się, tylko jedna odpowiedź: kuracyuszów, którzy dzięki soleckim kąpielom odzyskują zdrowie lub znaczne polepszenie i zamiast być ciężarem dla rodzin i społeczeństwa, mają możność powrotu do pracy pożytecznej.

Niech więc mąż przez wdzięczność za zdrowie żony, żona za zdrowie męża, rodzice za zdrowie dzieci, dzieci za zdrowie rodziców pośpieszą ochotnie z pomocą ludziom dobrej



WILLA „MICKIEWICZÓWKA“.

woli i swym groszem ofiarnym przyczynią się do wzniesienia tak potrzebnego w Solcu domu Bożego.

W roku bieżącym kuracyusze soleccy zajęli się dość gorliwie zbieraniem składek na cel powyższy. Jeden z nich pisał zręczne wiersze agitacyjne, drugi kwestował w kościele, jeszcze inny zbierał ofiary od kuracyuszów, a czasowych parafian soleckich, i w krótkim czasie zebrało sie przeszło 170 rubli. Nikt nie odmawiał choćby małego datku, odbyło się też widowisko amatorskie, z którego wpłynęło 210 rubli.

Na uwagę zasługuje w kościele soleckim obraz, umieszczony w antypedyum wielkiego ołtarza, obraz piękny, jak twierdzą, szkoły drezdeńskiej. Nazwisko malarza niewiadome.

Obraz w dobrym jeszcze stanie, czyni wrażenie dobrego malowidła.

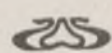
Fotografii obecnego kościoła zdjąć niepodobna, a to z powodu gęstego zadrzewienia wokoło, szkoda, widok byłby wymowniejszym od słów.

Przed kościołem wznosi się piękna figura Matki Bożej, którą postawili parafianie soleccy na pamiątkę jubileuszu w roku 1904. Wykonaną ona została w pracowni rzeźbiarskiej p. Smyczyńskiego w Kielcach.

Ap. Ol—ski.

(Dokończenie nastąpi).

Chwila bieżąca.



— W Finlandyi władze administracyjne usuwają „Towarzystwo socyalistyczne“ mogące szkodzić bezpieczeństwu Rosyi, również rozpoczęto nadzór nad osobami przejeżdżającemi do Finlandyi.

— Według wiadomości podanej przez „Birżewyje Wiedomości“, ma przybyć niedługo do Rosyi król norweski Haakon.

— Fanatyczny mnich Heliodor, gdzie tylko się znajduje wytwarza ferment podburzając lud ciemny przeciw inteligencyi. Tak było w Jarosławiu, w Petersburgu, Poczajowie. Obecnie to samo powtórzyło się w Carycynie, gdzie przemawiał do tłumu pielgrzymów skarżąc się między innemi, iż: „urzędnicy chcą zgnębić wiernego syna ojczyzny i cerkwi“. Z wzburzonego tłumu rozległy się okrzyki: „niedamy“ i rozpoczęła się bijatyka, ofiarą której padł nauczyciel gimnazyum, felczer i wielu innych. Stawiano nawet opór wezwanej policyi. Z wielkim trudem zdołano przywrócić porządek.

— Z rozporządzenia Synodu ma być zbierana rok rocznie składka na budowę cerkwi i szkół dla przesiedleńców. Przytem dołączono warunek, aby składki zbierane były w dni świąteczne w cerkwiach.

— Według pism rosyjskich przyszłe prace w Dumie ułożą się w następującym porządku. Przedewszystkiem zajmie się Duma reformą rządu miejscowego i samorządu miejscowego według projektu październikowców. W połowie października wejdzie na porządek dzienny reforma senatu. Budżet rozważany będzie w pierwszej połowie listopada. Przed świętami Bożego Narodzenia nastąpią reformy finansowe, prawdopodobnie najpierw przeprowadzona będzie reforma podatku tytuniowego. Również wniesiony będzie podczas jesiennej sesyi projekt prawa o przekształceniu głównego zarządu rolnictwa na ministeryum.

— Sprawa o zabójstwo Gryzla przez policmajstra Pabjanic Jonina, toczyła się w tutejszym sądzie II departamentu warszawskiej izby sądowej d. 27 b. m. Oskarżony policmajster ze względu, iż był wyższym urzędnikiem państwowym, sądzony był z należnemi honorami, eskortowany na salę sądową przez oficera, nosił na sobie mundur. Sprawa wytoczona została w imieniu ojca zabitego. Dzięki uczciwym zeznaniom świadka, żołnierza Sirotkina, uznano b. policmajstra Pabjanic Jonina za winnego zabójstwa z premedytacyą i skazano na pozbawienie wszystkich praw stanu i 12 lat robót ciężkich. Strażnika Kostiuszkę, jako współwinnego, na 8 lat ciężkich robót.

— Toczyła się również sprawa o zabójstwo znanego w szerokich kołach Warszawy lekarza-homeopaty d-ra Józefa Drzewieckiego przez nieletnich: Edwarda Fribolta i Stanisława Grela, którzy jednak byli tylko wykonawcami płatnymi. Zabójstwem kierował niejaki Walenty Sieczka, kto zaś miał interes w pozbawieniu życia doktora sprawa niezdołała wyjaśnić. Sieczkę IV wydział sądu okręgowego skazał na 13 lat i 4 miesiące robót ciężkich Grela na 6 lat tejże kary pozbawieniu obu wszystkich praw. Fribolta uniewinniono.

— Jan Mędry, członek starszy stowarzyszenia zawodowego kelnerów Królestwa Polskiego został zabity przez chłopców usługujących w restauracyach. Jan Mędry starał się wpływać na usunięcie małoletnich pracowników z restauracyi z kabaretami i gabinetami, ze względu na wpływ demoralizujący, niestety zapóźno, skoro zepsucie jest tak wielkie, że mogło dzieci popchnąć do morderstwa.

Treść numeru:

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 5-ty tomu II powieści p. t. „Pamiętnik idealistki“, przez Malwidę von Meysenbug, w przekładzie R. C.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Piotr Laskauer.** Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa, Nowy-Świat 41.